

Antoni Kantecki

Szkoły polskie w Afryce Wschodniej we wspomnieniach uczniów

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 4, 69-78

1997

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Antoni Kantecki
Gorzów Wlkp.

Szkoły polskie w Afryce Wschodniej we wspomnieniach uczniów.

W poszukiwaniu materiałów do historii szkolnictwa w latach 1939-1945 niespodziewanie natknąłem się na byłych uczniów ze szkół polskich w Afryce Wschodniej. Mieszkają w Gorzowie i jest ich niewielu: trzy kobiety i trzech mężczyzn. W Jordanowie mieszka jeszcze jedna osoba. Dzisiaj są to już starsi ludzie na emeryturach lub rentach. Żyją jeszcze dwie matki tych uczniów, jedna mieszka w Gorzowie, druga w Międzyrzeczu.

Co wydarzyło się w ich życiu, że znaleźli się w Afryce? Do 1939 roku mieszkali na kresach wschodnich i byli dziećmi, kiedy w 1940 roku władze sowieckie deportowały ich rodziców razem z nimi w głąb Związku Radzieckiego, gdzie warunki bytowania nie były dla nich łaskawe, a wręcz przeżywali piekło na tej nieludzkiej ziemi. W 1941 roku zawarto układ polsko-radziecki i sytuacja tych rodzin nieznacznie się poprawiła. Mężczyźni, zdolni do noszenia broni, mogli wstępować do armii gen. Andersa. Do obozu w Buzułuku i Tatiszczewie zaczęli zgłaszać się ochotnicy, a za mężczyznami pociągnęły kobiety z dziećmi. Armia często zmieniała miejsce postoju, ratując się w ten sposób przed zabójczym działaniem klimatu, a za nią podążali cywile, przeważnie kobiety z dziećmi. Przy skąpych racjach żywnościowych i innych dolegliwościach szerzyły się choroby do tego stopnia, że groziły wszystkim zagładą. Śmierć znaczyła ich każdy krok na bezkresnych obszarach Związku Radzieckiego.

Pod naciskiem rządu angielskiego władze radzieckie wyraziły zgo-

dę na przetransportowanie wojska i obozu kobiecego do Iranu. Granicę irańską przekroczyło 70 tys. żołnierzy i około 50 tys. osób cywilnych. Nie wszystkim kobietom udało się przekroczyć granicę. Kilka tysięcy wycofano na stanowcze żądanie władz radzieckich. Powrót oznaczał dla nich głód, choroby i niechybną śmierć.

Z Iranu wojsko zostało przetransportowane do Iraku, zaś kobiety z dziećmi po odbyciu kwarantanny wysłano w różne części świata: do Afryki, Indii, Libanu i Meksyku. W ten sposób bohaterzy tego artykułu trafili do Afryki Wschodniej, na obszary dawnych kolonii angielskich: Kenii, Ugandy i Tanganiki (dziś Tanzanii).

Bolesław Bajorek, dziesięcioletni wtedy chłopiec, razem z matką wędrował przez Kazachstan, aż dotarli do armii i z pierwszym transportem wojska, już w marcu 1942 roku, przekroczył granicę irańską. Po odbyciu kwarantanny w obozie przejściowym skierowani zostali do Teheranu. W jego wspomnieniach znajduje się taki zapis: *Już w pierwszych dniach pobytu w Teheranie nauczyciele zbierali grupki dzieci i w parku, na kamieniach, na trawie prowadzili pierwsze lekcje. Zeszytów ani książek nie było, a lekcje rysunków odbywały się na piasku...* Z Teheranu wyjechał z matką do Afryki Wschodniej, do osady Tangeru w Tanganice (dziś Tanzania). We wspomnieniach napisał:

Po przyjeździe do Tangeru w nie zamieszkałych jeszcze domach już odbywały się lekcje, od pierwszej do szóstej klasy. Później władze osiedlowe wybudowały specjalne pomieszczenia na szkołę. Były to baraki wokół wybranego placu. W oknach zamiast szyb wstawiono pręty bambusowe. Całe osiedle miało kształt gruszki, tak że niektórzy uczniowie mieli ponad trzy kilometry do szkoły. Następnie powstało gimnazjum i liceum humanistyczne, szkoła krawiecka, handlowa i mechaniczna...

Autor wspomnień chodził do szkoły powszechnej, a później do szkoły zawodowej mechanicznej. Bardziej szczegółowy opis budynku szkolnego znajdujemy we wspomnieniach Franciszki Kani, mieszkającej wtedy w osiedlu Masindi (Uganda):

Drewniana konstrukcja (żerdzie bambusowe) oplecione trawą słoniową na wysokości jednego metra. Do klasy można było zaglądać ze wszystkich stron, okna więc były zbyteczne. Nie było też sufitu. Nad głowami uczniów rozpościerał się bezpośrednio dach słomiany. Prymitywne były ławki i stoły z prostych, surowych desek, na glinianej podłodze. Jedynie tablica była prawdziwa...

Szkołę budowali Murzyni z pobliskich wiosek, więc stawiali ją na wzór i podobieństwo własnych chat (przeważnie z jedną izbą), ale stawiano i chaty z większą liczbą pomieszczeń. Pomimo tak prymitywnej budowy pomieszczenia szkolne i mieszkalne wytrzymywały nawet trzęsienia ziemi, dość często występujące w tej części Afryki.

Lepszy standard posiadały szkoły i budynki mieszkalne w osiedlu Rongai (Kenia). Aleksandra Jarocka pisze:

Szkoły były murowane, z cegły pozyskanej z miejscowej cegielni, zaś w budynkach mieszkalnych była bieżąca woda, były łazienki, ale występowały inne uciążliwości: nie mieliśmy w osiedlu poczty ani szpitala...

Kiedy w osiedlu Masindi nie zdołano na czas zbudować szkoły, przez pewien czas - jak pisze Danuta Ferstner - lekcje odbywały się na świeżym powietrzu, najczęściej pod baobabem lub kasztanowcem. Olbrzymie drzewa zapewniały cień i chroniły przed palącymi promieniami słońca.

Najwięcej trudności sprawiał jednak dotkliwy brak podręczników i przyborów do pisania. Nauczyciele opracowali programy nauczania dla wszystkich typów szkół, zaś pierwsze lekcje przypominały bardziej zajęcia w średniowiecznej szkole parafialnej, w której królował jedyny podręcznik w rękę bakałarza. Podobnie w szkołach afrykańskich. Nauczyciel tak długo czytał tekst z podręcznika, aż uczniowie go zapamiętali.

W klasach pierwszych też sobie radzono. Pierwszaki siadały na gołej ziemi, nauczyciel zaś stawał przed nimi i długim patykiem kreślił na piasku literkę lub cyferkę, a uczniowie wodząc mozolnie patykiem na piasku odwzorowali to, co napisał nauczyciel, a później głośno odczytywali dopóty, dopóki nie zapamiętali. W klasach starszych do ćwiczeń w technice czytania nauczyciele wykorzystywali gazety. W Masindi można było nabyć za 2 centy tygodnik, poświęcony Polakom na uchodźctwie o nazwie „Polak w Afryce”, wydawany w Nairobi, natomiast w osiedlu Tanageru czytali dziennik o patriotycznej nazwie „Orzeł Biały”, też wydawany w Nairobi.

Od początku w lepszej sytuacji były szkoły w Masindi. Już w pierwszych tygodniach otrzymały niezwykle podarunek: podręczniki i przybory do pisania. Niespodziewany dar pochodził od misjonarza Polaka, który pracował w pobliskiej misji. Wśród podręczników znajdowały się również czytanki i rozmówki do języka angielskiego. Później do Afryki Wschodniej zaczęły napływać podręczniki od Polonii amerykańskiej, co

w znacznym stopniu ułatwiło pracę.

Problem podręczników i przyborów do pisania przestał istnieć w 1944 roku. Za sprawą rządu polskiego władze angielskie wyznaczyły w Anglii, na Środkowym Wschodzie i w Indiach drukarnie, których zadaniem było drukowanie dla szkół polskich podręczników i zeszytów. Od tego czasu sytuacja zmieniła zasadniczo. W 1945 r. w Tengeru i Masindi przystąpiono do pierwszych egzaminów dojrzałości, a w rok później już do następnych.

Dla uczniów nie było żadnej taryfy ulgowej. Na świadectwach wystawianych uczniom występowały wszystkie przedmioty, jak w szkołach przedwojennych, z tą różnicą, że na świadectwach szkół powszechnych był dodatkowy przedmiot - język angielski, który w szkołach powszechnych w Masindi wprowadzono już od klasy pierwszej, w Tengeru od klasy trzeciej a w Rongaj, dopiero od piątej. Były trudności w pozyskaniu nauczycieli do tego przedmiotu, więc zatrudniano często absolwentów liceów humanistycznych.

Występowały też braki wśród nauczycieli szkół średnich, dlatego w niektórych miejscowościach nie można było uruchomić tych szkół, zaś absolwentów szkół powszechnych umieszczano w internatach najbliższej szkoły średniej.

Szkoły powszechne były koedukacyjne, natomiast średnie dzieliły się na męskie i żeńskie. Nie obowiązywał strój szkolny. Na zdjęciu II klasy gimnazjum żeńskiego w Masindi uczennice ubrane są w różnokolorowe sukienki.

Rok szkolny w szkołach afrykańskich trwał dziesięć miesięcy, ale pierwsze półrocze przypadało na koniec maja, a zakończenie roku szkolnego na 15 grudnia.

Wiele było w osiedlach sierot i półsierot. Te dzieci mieszkaly w sierocińcach, prowadzonych przez siostry nazaretanki. Wychowankowie sierocińca mieli zapewnioną naukę w szkołach wszystkich typów. W jednym z sierocińców przebywał Jerzy Dobrowolski, który w swoich wspomnieniach tak napisał:

Mieszkaliśmy w Rongai (Kenia), miejscowości o bardzo łagodnym klimacie. Uczęszczałem do szkoły trzeciego stopnia. Wykładały m. in. siostry nazaretanki. W piątej klasie zaczął się język angielski. W szkole obowiązywały kary cielesne, które wymierzano przy pomocy linijek, kijów i hipopotamek. To ostatnie narzędzie było sporządzone ze skóry hipopota-

ma, z jednej strony grubsze, stopniowo zwięzające się ku końcowi. Przy uderzeniu często zdarzało się, że krew ciekła po nodze na skutek rozcięcia skóry.

Czy kary cielesne stosowano powszechnie? Tego dokładnie nie wiemy. Praca dydaktyczno-wychowawcza zapewne nie była łatwa w takich warunkach. W szkołach kadre nauczycielską stanowiły przeważnie nauczycielki, w domu matka sprawowała opiekę nad dziećmi, w wielu przypadkach już dorastającymi i nieraz była bezradna, szczególnie wobec chłopców, którzy wychowywali się bez ojców i dorastali w nietypowych warunkach, najpierw na terenie Związku Radzieckiego, gdzie spryt, przebiegłość czy nawet złodziejskie wyczyny ratowały od głodu, a czasem i śmierci, zaś w warunkach afrykańskich przyspieszone dojrzewanie wywoływało zamęt w ich psychice. Chłopcy często uciekali do dżungli, przepadali w wioskach murzyńskich, urządzali bójkę z rówieśnikami z innych osiedli. Nie było to zjawisko powszechne, ale zdarzało się, a i dziewczęta brały często w tym udział.

Szeroko rozwinęła się w szkołach praca pozalekcyjna.

Nauczycielki - pisze Bolesław Bajorek - organizowały teatryki, chóry międzyszkolne, kółka miłośników przyrody i historii Polski. Powstała czterdziestoosobowa orkiestra, organizowano co roku wystawy hafciarstwa ludowego. Wystawy organizowała też szkoła mechaniczna. Wiele przedmiotów z wystawy kupowali Anglicy i Hindusi.

W każdej szkole działała organizacja harcerska, zaś w młodszych klasach drużyny zuchowe. Chłopięce drużyny zuchowe ubrane były w szare mundurki, zamiast chust z białymi wykładanymi kołnierzykami. Osobliwością w warunkach afrykańskich były wełniane, kolorowe skarpetki, które nosiły również starszo-harcerskie drużyny.

Ja należałam - pisze Franciszka Kania - do drużyny zuchowej. Szara spódniczka, biała bluzka i zielona, szeroka wstążka na piersi, to strój zucha - dziewczynki.

Drużyna harcerska w Masindi maszerowała często w takt dość osobliwej w swej treści piosenki, napisanej przez nieznanego autora, śpiewanej na melodię marsza Brygady Karpackiej. Piosenka zaczyna się od słów:

*Maszeruje drużyna, maszeruje,
Bo praca to pożyteczna rzecz.
Niech pola w Masindi wykarczują,
By wiosną ziemniaki mieć.*

*Daleka jest droga, daleka,
Daleki jest świat.
Z osiedla Masindi
Do polskich chat.*

Czytelnika zapewne dziwi czwarty wiersz w pierwszej zwrotce piosenki: „By wiosną ziemniaki mieć”. Na spotkaniu, dawni uczniowie powiedzieli mi, że polskim osadnikom trudno było się przyzwyczaić do manioku, papai i innych roślin afrykańskich. Tęsknili wszyscy do ziemniaków, które zaczęto uprawiać w przydomowych ogródkach, a nawet na specjalnie wykarczowanych poletkach. Przystąpiono również do hodowli świń, co w tamtejszych warunkach było rzadkością. Od tego czasu na polskich stołach pojawiały się ziemniaki i wieprzowina. O dziwo, nie było zatruc od wieprzowiny. W afrykańskim klimacie różne choroby nękały jednak mieszkańców osiedli.

Chorowali, i to dość często, na malarię, żółtą febrę i porażenia słoneczne, ale najbardziej dokuczliwe były wszelkiego rodzaju pasożyty, atakujące przeważnie skórę na rękach i nogach, dlatego codziennie po kąpieli należało skontrolować skórę na rękach i nogach i wczepionego pasożyta oderwać. Mieszkańcy osiedli mieli zapewnioną opiekę lekarską. W Masindi był szpitalik na sto dwadzieścia łóżek, natomiast pacjentów z poważniejszymi przypadkami wysyłano do Nairobi i Kampali.

Życie kulturalne w osiedlach rozwijało się na różnych płaszczyznach. W Tengeru istniała czterdziestoosobowa orkiestra międzyszkolna, występująca na uroczystościach szkolnych i akademiach. Zespoły teatralne, prowadzone przez nauczycieli, urządzały przedstawienia, na które licznie przybywali mieszkańcy nawet z okolicznych osiedli - obozów. Urządzano pogadanki z zakresu wiedzy o Afryce. Gromadzono pamiątki związane z folklorem Afryki Wschodniej, a do badaczy folkloru należał doktor medycyny Wacław Korabiewicz, autor książki *Gdzie stoń, a gdzie Polska*.

W czasie wakacji szkolnych urządzało się wycieczki nad jeziora Wiktorii i Alberta, rozbijano obozy u podnóża Kilimandżaro, najwyższej góry w Afryce. Z wycieczek przywożono ciekawe okazy flory i drobniejsze eksponaty świata zwierzęcego, niektóre preparowano, inne wkładano do słoików z formaliną. Opracowywano katalogi roślin pod kierunkiem nauczycieli. W ten sposób gromadzono pomoce naukowe do nauczania bio-

logii. Pod koniec wakacji odbywały się zloty harcerskie z udziałem zagranicznych drużyn, np. Greków i Hindusów.

Bardzo uroczysto obchodzono święta państwowe: 3 Maja i 11 Listopada. Uczestniczyli w nich wszyscy mieszkańcy osiedla. Poza oficjalną akademią odbywały się również zawody sportowe, w których udział brali uczniowie starszych klas gimnazjalnych. Autor posiada w swoich zbiorach dwa dyplomy, zdobyte przez Teofila Dziobana, brata jednej z gorzowskich „Afrykanek”, właśnie w dniu 3 maja za zajęcie I miejsca w konkursie skoku o tyczce i za I miejsce w Biegu Narodowym. Na dyplomach widnieją podpisy komendanta osiedla i komisji sędziowskiej.

W osiedlu Masindi istniał Klub Sportowy „Warta”, w ramach którego działała drużyna piłki nożnej składająca się z uczniów szkół średnich. Drużyna miała własne boisko, na którym często rozgrywano mecze międzyosiedlowe.

Codziennie życie w tej części Afryki zamierało o godzinie osiemnastej. O tym bowiem czasie zachodzi słońce, po czym zapadają tak nieprzeniknione ciemności, że na odległość ręki nic nie widać. Poruszający się na drodze lub ulicy używali latarni lub pochodni.

Przed udaniem się na spoczynek każdy mieszkaniec musiał pamiętać o dokładnym sprawdzeniu łóżka, by wypędzić z niego nieproszonego gościa, np. węża, często jadowitego, a nad łóżkiem zawiesić moskitierę, chroniącą przed owadami.

Mieszkańcy osad nie utrzymywali żadnych kontaktów z Murzynami, z wyjątkiem handlowych, jedynie dzieci szukały towarzyszy wspólnych zabaw. Murzyni z Afryki Wschodniej pochodzą m.in. z dorodnego szczepu Masajów, należącego do licznego plemienia Bantu. Pracowali przeważnie na angielskich plantacjach, zaś niektórych zatrudniano do prac porządkowych w osiedlach. W stosunku do białych kobiet zachowywali się poprawnie. Jednak często kradli. Złapany na gorącym uczynku delikwent podlegał karze chłosty, którą wymierzano z całą bezwzględnością.

Początkowo mieszkańców osiedli niepokoiły tajemnicze odgłosy tam-tamów, które wypełniały dżunglę nieraz do północy, ale później przyzwyczajono się do tych wieczornych „rozmów” wiosek murzyńskich.

Wymagania w szkołach stawiano uczniom wysokie. Jedna z uczennic, już po powrocie do kraju, poddana egzaminowi z zakresu klasy czwartej szkoły powszechnej, wykazała się wiadomościami na poziomie klasy

piątej.

Z maturzystami było trochę kłopotu, ponieważ w Afryce Wschodniej nie było szkół wyższych, dlatego niektórych zatrudniano w szkołach, często jako nauczycieli języka angielskiego, inni znajdowali pracę w Nairobi lub Kampali, pozostali znaleźli zatrudnienie w osiedlowych warsztatach rzemieślniczych.

Osiedleni w Gorzowskiem „Afrykańczycy” uczyli się w szkołach różnego typu: Danuta Forstner i Franciszka Kania ukończyły III klasę szkoły powszechnej, Jerzy Dobrowolski klasę V, Józef Kasiniak ukończył szkołę powszechną, natomiast Bolesław Bajorek otrzymał promocję do klasy II szkoły zawodowej, Aniela Jarosik ukończyła I klasę gimnazjalną.

Uczniowie zapamiętali nazwiska niektórych nauczycieli pracujących w szkołach Afryki Wschodniej. W Masindi (Uganda) w szkołach powszechnych pracowały nauczycielki Książkiewicz i Anna Niepokólczycka. W gimnazjum i liceum: Nelly Niedziałkowska, Irena Orechwa, Danuta Metropolit, Genowefa Bieńko i dyrektor szkoły Ryszard Arnold. W Koi (Uganda) w szkole powszechnej pracowały: Zofia Jagocik i Anna Wojnowa. Religii uczył ks. Łucjan Królikowski.

W osiedlu Tangeru (Tanzania) pracowały w szkołach powszechnych: Julia Zawistowska i Irena Lityńska. Kierownikiem szkoły była Anna Zarzycka. W szkole zawodowej uczyli: Bronisława Kresowska i nauczyciel zawodu Konas. W Rongai (Kenia), w szkole powszechnej prowadziła nauczanie Maria Kwiatkowska, zaś w gimnazjum: Kułakowska, Dadej, Mieszkowska, Kinasz-Surowiecki, Pomorska, Pomorski, Wieruszewski. Niewątpliwie nauczycieli pracujących w Afryce Wschodniej było znacznie więcej, ale tylko tylu uczniowie zdolali zapamiętać.

W roku 1945 do Afryki dotarła radosna wieść - koniec wojny! W szkołach przygotowywano się do zakończenia pierwszego półrocza, ale minęło jeszcze wiele miesięcy, zanim w tej części Afryki szkoły zakończyły swoją działalność. O wyjeździe do kraju nie mówiono jeszcze, raczej naradzano się, bo w zasadzie kresowiaczy nie mieli dokąd wracać. Z kraju napływały listy, w których rodziny wcale nie zachęcały do powrotu. I tak minęły dwa lata. W osiedlach życie toczyło się normalnie, ale wyczuwało się jakiś niepokój. W szkołach średnich zdawano matury, uczniowie pozostałych szkół otrzymywali świadectwa promocyjne, urządzano biwaki, zaś uczniowie szkół w osiedlu Rongai urządzili sobie zabawę i biwak na równiku. Dopiero po likwidacji Polskich Sił Zbrojnych na Za-

chodzie władze angielskie zaczęły namawiać mieszkańców do wyjazdu.

W 1947 r. zorganizowano pierwszy transport, który wypłynął z portu Mombasa. Jedni wyjeżdżali do Anglii, by stamtąd wyruszyć w dalszą wędrowną, większość jednak wracała do kraju.

Powrót do ojczyzny wielu rozczarował. Powrócili z niezawinionym piętnem dzieci „andersowców”, co nie ułatwiało im wcale życia, a wręcz musieli uciekać się do skrywania swej przeszłości, zmieniając życiorysy. W ankietach podawali, że są repatriantami. Tak przeszli przez życie, którego częstą, swoje dzieciństwo i wiek dojrzewania musieli ukrywać.

Do Gorzowa przyjechali w różnych okresach czasu, jedni jeszcze jako dzieci w latach 1947-1948 i tutaj przygotowywali się do dorosłego życia, paru przyjechało znacznie później (1953-1962), niektórzy już po maturze i po szkole zawodowej. Podjęli pracę, np. w szkolnictwie, finansach miejskiej rady narodowej, a także w zakładach produkcyjnych (ZWCh „Stilon”, Zakłady Mechaniczne „Ursus” w Gorzowie). Dwoje ukończyło studia wyższe. Jedna „Afrykanka” po przyjeździe do kraju zamieszkała w Jordanowie, ukończyła szkołę handlową i tu po maturze pracowała jako księgowa w Domu Opieki Społecznej przez 41 lat. Dzisiaj już rzadko wspominają lata pobytu w Afryce, a dawne obrazy i przeżycia zaciera nieubtany czas.

W artykule wykorzystano wspomnienia następujących osób:

Aleksandra Jarocka, Gorzów Wlkp. ul. Kos. Gdyńskich 20 B/3,
Franciszka Kania, Gorzów Wlkp. ul. Sikorskiego 14/6,
Danuta Forstner, Gorzów Wlkp. ul. Czereśniowa 11B,
Bolesław Bajorek, Gorzów Wlkp. ul. Sportowa 6 A/27,
Józef Karaśniak, Gorzów Wlkp. ul. Łokietka 31/9,
Aniela Jaroszek, zam. w Jordanowie.



*Medal wręczany przez Papieża osobom uczestniczącym
w powitaniu (50 mm).*